

CZEŚĆ IV

LATINA

Cykady

Latina leży około 60 km od Wiecznego Miasta. Aby do niej dotrzeć, trzeba przeskoczyć Triest, kilka mniej znanych miejscowości, by wreszcie wjechać na słynną Autostradę Słońca, która prowadzi do Rzymu.

Stąd tylko jeden skok.

Niebo w Italii jest takie jak na pocztówkach. Bez jednej chmurki – puste jak ocean. Gdzie okiem sięgnąć – błękit, błękit.

Widzę swoją zlaną potem twarz, brzuch Róży i spuchnięte nogi.

– Kopie?

– Trochę.

– A kiedy ostatnio?

– Wczoraj przed zaśnięciem. To było tak jakby się rozpychał łokciami. Straszny z niego nerwus. Po tobie.

Najmniejszy z naszej trójki. Nienarodzony, zwinięty w kłębek. Mała muszelka. Kim będzie za kilkanaście lat? Czy dane mi będzie pokazać mu świat, ale nie ten, w którym tylko przypadkiem można spotkać Anioła, a ludzie pozamieniali się w bestie?

Odsuwam natrętne obrazy. Wciskam mocniej gaz. Za szybą zielonkawę pola, czasami biały dom otoczony tujami; w uszach jednostajny szum silnika.

A potem znowu pustka. Parę kilometrów spalonej na grafit roślinności. I cisza. Ogromna cisza, kołysana monotonnym szumem silnika i bezmiar przestrzeni, która przyciąga wzrok, a jednocześnie osłabia uwagę.

– Uważaj! – mówię do siebie. – Uważaj!

Róża robi świetną robotę. Co kilkadziesiąt kilometrów przykleja skoczem do deski rozdzielczej kartkę z nazwami miast i miejscowości. Gdyby startowała w rajdach – byłaby znakomitym pilotem.

Noga z gazu... wdepnięcie. Noga z gazu... wdepnięcie.

Silnik „malucha” pracuje głośno, lecz – jak dotąd – bez zarzutu. Rytmiczny szum usypia.

– Opowiedz coś. Mogę zasnąć.

Rozmawiamy o muzyce, filmach, zastanawiamy się, co nas jeszcze czeka. Noga z gazu... wdepnięcie. Taka technika jazdy gwarantuje dobre smarowanie.

Zatrzymujemy się na kilkuminutowy odpoczynek. Kupuję pełny bak benzyny, przecieram z kurzu szybę.

– Co kupić?

– Kup lody!

Wchodzę do baru. Kilku spoconych podróżnych popija 7-up. Ktoś przegląda nowego „Penthousa”.

Plącę i z chłodnego wnętrza wybiegam na skwar. Róża zjada jedną – ja rzucam się na dwie porcje.

– Twoje łakomstwo przejdzie do historii. Bijesz wszelkie rekordy obżarstwa.

– Ty lubisz ciasta, ja – lody. Każdy ma jakąś słabość.

– Tylko że ty przesadzasz.

Stoimy w cieniu. Przez otwarte szyby wpada nieco powietrza. Powoli jemy lody, relaksując się ciszą i grą cykad. Co kilkanaście sekund brzęczenie milknie.

– SZszSZszSZszSZsz... SZszSZszSZszSZsz...

Trwa to chwilę, dwie, lecz zaraz potem cykady znów zaczynają pocierać swoje odwłoki i koncert zaczyna się od nowa. To trochę tak, jakby wielka orkiestra symfoniczna traciła skrzypków, by po chwili zwiększyć skład o kilka wiolonczeli i waltorni.

Wjeżdżamy na Autostradę Słońca. Po lewej i po prawej stronie spalona, tylko gdzieniegdzie zgniłozielona roślinność, słońce wypala wszystko. Trawa ma kolor brudnego ugru, sieny. Ziemia jest ruda, popękana niczym skała. Znów wyskakuje z oddali pojedyncza winnica, parę zabudowań. Wytężam wzrok i nagle dostrzegam śpiącego psa.

– Przy studni ma chłodniej – zauważa Róża – sprytny piesek.
– Sam bym się tam położył.
– Ja też. Czy tu ciągle jest taki upał?
– Takie są Włochy, kochanie. Lato trwa dwa razy dłużej niż u nas.
Ale będziemy się chłodzić. Pojedziemy nad morze, będziemy siedzieć pod parasolem tak jak „makaroniarze”.
– Sam jesteś „makaroniarz” – śmieje się Róża.
I naraz czuję, jak otucha zastępuje chwilową apatię. Może nie będzie tak źle? Może wszystko okaże się prostsze i dopisze nam szczęście? „Świat należy do odważnych” – mówię do siebie, po czym dodaję gazu.

Campo di Latina

Nagle rozklejam się. Oczy zamykają się same ze męczenia. Staram się skoncentrować, lecz powieki pieką, sztywnieje kark, cierpną łydki.

– Co z tobą? – pyta Róża widząc, że samochód zwalnia.
– Wysiadłem trochę, ale zaraz dojdę do siebie.
– To może staniesz?
– Nie, po nocy nie możemy jechać. To jeszcze gorzej.

Uciałbym sobie najkrótszą drzemkę. Ale nie mogę. Widziałem ich. Pędzili ile tchu. Widziałem dziesiątki wozów z polską rejestracją. Z Warszawy, Krakowa, Łodzi, Katowic, z Poznania. Ze wszystkich krańców Polski.

Nieraz doznaję obezwładniającego uczucia lęku. Czy nie postąpiłem zbyt pochopnie? Gdzie są moi najbliżsi?

Dwadzieścia cztery godziny jazdy non stop robi swoje. Czuję, jak co chwila puszczam kierownicę (zapadają mi się łokcie), a zalana słońcem autostrada zmienia się w szarą niewidzialną nitkę.

Obudź się, stary! – gadam do siebie – bo wlecisz do rowu i pozabijasz wszystkich.

Lepiej. Jakby lepiej. Wizja wypadku mobilizuje mnie. Ożywiam się i znów widzę słońce, zielone winnice, zaróżowione kolana Róży i jej brzuch.

Na autostradzie pojawia się znajoma sylwetka: biały polonez z przyczepą. Odprowadzamy go wzrokiem. Ze smutkiem, rozpaczą

i z zaciekawieniem. Polski wóz i od razu tyle odczuć. Żeby tylko nie przerodziło się to w jakąś obsesję.

W drogę! – przelatuje mi przez głowę. – Jak będziemy się guzdrać może zabraknąć dla nas miejsca. Każdego dnia do Latiny przybywa podobno po kilkadziesiąt osób.

Po południu docieramy do wybrzeża. Widać zakola, zatoczki, skały, piasek. Mijamy pierwszą plażę, na której roi się od kolorowych parasoli.

– Ale tam musi być skwar – mówię. – Kupimy taki parasol. Nie wytrzymamy bez niego nawet dziesięciu minut.

– Pięknie! – wzdycha Róża. – Spójrz tam!

Mijamy sprzedawców brzoskwiń, arbuzów i bananów. Szesnastoletni chłopiec macha do nas przyjaźnie podnosząc w górę tuzin pstrokatych kąpielówek.

– *Dieci mila lire! Solo dieci!* – woła falsetem.

Nadbrzeżem, w wielkim słomkowym kapeluszu, sunie stara kobieta. Jak z *Osiem i pół* Felliniego. Przypomina mi się motyw Nino Roty. Zaczynam nucić pod nosem i nagle spostrzegam biegnącego przed nią kilkuletniego malca. Gonię go wzrokiem, a stara zawodzi:

– *Giuliano! Aspetta un momento!*

Dodaję gazu, pojawia się trattoria. Na zydlach pod daszkiem przysiadają kilkunastu mężczyzn. Starość rozkraczyła nogi w przepoconych sandałach. Siedzi i popija cieniutkie wino, gapi się w bezkresny horyzont, podpatruje dziewczęta.

– Ach! Żeby tak można którąś z nich mieć! – marzą dziadkowie. – Żeby choć którąś dotknąć.

Przez otwarte okno dobiega śpiew Modugno:

– *Io, sono Io, proprio Io...*

Oto kawałek Italii. A więc stało się. Wróciłem.

Staje mi przed oczami kino na Via Nazionale. Stoję wpatrzony w plakat z filmu *Johnny Guitar*. Kruczowłosa Joan Crawford i Sterling Heyden. Który to był rok? 1960 czy 1964? Nieważne. Rzym tętni olimpiadą, lecz ja zamiast siedzieć na stadionie i obserwować walkę sportowców, wolę włóczyć się po mieście, chłonać jego ulice, place, zaułki. Rozedrgany, wielobarwny tłum przyciąga, kusi tysiącami niespodzia-

nek. Tak jak dziś, tak i wówczas ulice przemierzają podobni przechodnie. Stary człowiek o nieruchomej sylwetce patrzy przed siebie, jakby czekał na kogoś ważnego i drogiego, lecz ten się nie zjawia. Splecione, powyginane gośćcem palce. Poorana czasem twarz. Bruzdy wokół ust. Siatka zmarszczek dookoła siwych oczu. Rozpięty rozporek. Od czasu do czasu człowiek leniwym ruchem podnosi w górę rękę i zakrzywionym palcem próbuje wydostać z ucha kawałek woskowiny.

– Psiakość! Nie chce wyjść! – szepczą spieczone skwarem usta. – Żeby to szlag!

Nic się nie zmieniło. Wówczas miałem szesnaście lat, dziś czterdzieści trzy. Czy kiedykolwiek pomyślałbym, że wrócę tu jako emigrant?

Przez moment oddalamy się od morza. Znika żaglówka z seledynowym żaglem. Znikają przydrożne motele i trattorie. A potem to samo. Plaża za plażą, kolorowe parasole, sznur samochodów, beztroscy ludzie. Wszystko w słońcu lub w światłocieniu. I te cykady.

Koło czwartej po południu docieramy do Latiny. Blisko pół godziny krążę po nieznanym mieście pytając Włochów o adres obozu. Wreszcie kolejni „makaroniarz” wskazuje nam drogę.

Po lewej stronie ulicy ciągnie się wysoki mur. Z daleka dostrzegamy grupki uchodźców. Stoją przed bramą, siedzą na krawężnikach, grzebią pod maskami aut. Polskie dziewczęta zbite w trzyosobowe grupki. Przeważają niezgrabne, w tureckich jeansach bądź w szortach. Długonogie defilują za to w mini; nie trzeba specjalnie się wysilać, żeby zobaczyć zgrabne pöldupki i gołe piersi.

– Gdzie się patrzysz! – syczy Róża.

Parkuję, dokładnie zamykam szyby.

– Masz swój paszport?

– Dałam tobie.

Sprawdzam. Jest.

Biorę Różę za rękę i naraz czuję, jak rośnie mi ciśnienie, nogi wrastają w ziemię, a serce wali jak oszalałe.

– Idziemy – mówię szeptem. – Nic się nie bój. Zaraz będziemy w środku.

Czuję się jak kukła. Niewidzialna siła popycha nas na prawo, w kierunku budki strażnika.

Wchodzimy. Dobrze zbudowany, przedwcześnie wyłysiały dwudziestoparolatek prowadzi nas do wnętrza dyżurki.

– To Polacy – tłumaczy niezłą włoszczyzną chłopak.

– Małżeństwo? – pyta strażnik obrzucając nas wzrokiem i lypiąc jednocześnie na tranzystorowy telewizor.

– Tak, jesteśmy małżeństwem – odpowiadam.

W telewizorze mecz piłki nożnej. Strażnik odwraca głowę w moją stronę.

– Macie jakiś papier?

– Owszem – odpowiadam i wyciągam plik dokumentów.

Nie ma wśród nich certyfikatu małżeńskiego, jedynie dokument oznajmiający o terminie ślubu, który się nigdy nie odbył.

– *Va bene* – gada Włoch, nie patrząc w papiery, które ma pod nosem. – *Tutto bene*. W porządku.

Widzę, jak chowa nasze paszporty do szuflady i wyciąga dwie zielone karty. Zapada długa cisza, którą zakłóca jedynie wrzawa ze stadionu, a potem jeszcze tylko dwa uderzenia stempla w zielone karty i... po wszystkim.

– Teraz pójdziecie ze mną – odzywa się Polak. – Pokażę wam, gdzie będziecie spać. Tu każdy idzie najpierw na „tranzyt”.

Ściskamy sobie dłonie.

– Krzysztof, a ty?

– Włodek.

Więc to już – kołacze gdzieś po drugiej stronie czaszki. Właśnie tak, po prostu, najzwyczajniej?

– Wjedźcie samochodem pod tamten barak – radzi Włodek. – Tak będzie wygodniej. Już jutro musicie samochód trzymać na zewnątrz.

– Czy można być spokojnym o rzeczy?

– Trzeba uważać, bo dostaniecie tylko jeden klucz; drzwi można wywalić pchnięciem kolana.

Wracamy do wozu. Napięcie, kilkunastogodzinne zmęczenie, wszystko nagle opada.

Zapalam silnik i przez szeroko otwartą bramę obozu podjeżdżam pod wskazany barak. Tu i ówdzie suszy się bielizna, prześcieradła, kostiumy kąpielowe. Ktoś z nowo przybyłych niesie na ramieniu materac. Słysząc polski język, także węgierski i czeski. Z pobliskich

baraków wysypuje się sznurek młodych ludzi z menażkami. Uchodźcy niosą na tackach wielkie pajdy chleba, po kilka pomidorów, mięso, sałatę oraz brzoskwinie. Wszędzie snują się dzieci. Przed największym budynkiem wałęsają się trzy kundle i dwa szczeniaki.

Wchodzimy do pierwszego baraku. Ponury korytarz oświetlony jarzeniówką; przez denko prześwitują odwłoki przypalonych owadów. Włodek otwiera pierwsze drzwi. Wchodzimy, rozglądamy się. W rogu na parapecie śpi wielki pajak. Przekręcam kontakt. Słaba żarówka rzuca wątłe światło na lichy stół i krzesło. Na wprost okno zaopatrzone w siatkę. Za drzwiami słysząc znów węgierską rozmowę. Ktoś uchyla drzwi, odwracam głowę.

– To Janos – mówi Włodek. – Poznajcie się. Janos jest tu zastępcą magazyniera.

– Chcielibyśmy dostać coś do spania. *My wife is pregnant*. Moja żona jest w ciąży – wyjaśniam.

– *Va bene* – odzywa się Janos. Ma sympatyczną pociągłą twarz, mocno przerzedzone włosy. Ubrany w podkoszulkospodnie od dresu.

– *Non c'è problema...* ty jutro i twoja żona do hotelu, a na razie *mangiare*.

Ściskam mu dłoń. Może nie będzie tak źle. Jeśli można mu wierzyć.

Obrzucam wzrokiem upstrzone napisami ściany:

„JOLANTA KRÓL – PRL III 1986”,

„LESZEK CIECHOWSKI – POLAND – 1983”,

„WACŁAW DURAJ – WROCŁAW 81”.

Ilu ich tu było przed nami? – przelatuje mi przez głowę. I naraz czuję, jak niewidzialna dłoń chwyta mnie za gardło.

János

Po raz pierwszy w życiu, i, daj Boże, po raz ostatni, zdejmują mi odciski palców. Gruba, owłosiona łapa policjanta wprawnie chwyta mnie za przegub prawej dłoni, smaruje czarną papką palce, przyciska do kartonu z moim nazwiskiem. Najpierw kciuk, potem palec wskazujący i tak dalej. To samo z drugą dłonią.

Szybki jest – myślę. – Diabelnie sprawny rutyniarz.

Cały zabieg trwa kilka minut. A potem zdjęcia. Z profilu, en face. Jeden flesz, drugi, trzeci. Gotowe. Jeszcze jeden uchodźca załatwiony.

– *Il prossimo, il prossimo!* Następny, następny!

– Widzisz, jak szybko poszło – mówię do Róży. – Nie martw się, kochanie. Ze mną nie zginiesz.

Wychodzimy na dziedziniec Campo di Latina. Pod magazynem, gdzie wydają środki czystości – tłum. Taki sam pod tablicą ogłoszeń. Podchodzę i czytam:

„SPRZEDAM DOLARY. BLOK IV – POKÓJ 15 – WIESIEK”,

„SPRZEDAM NAMIOT, BUTLĘ GAZOWĄ. BLOK II
– POKÓJ 7 – MAREK”,

„KUPIĘ FIATA 126P. BLOK IV – POKÓJ 12 – WACEK”,

„SPRZEDAM ROZMÓWKI WŁOSKIE, NAUCZĘ ANGIELSKIEGO!
GRAŻYNA – BLOKI I – POKÓJ 21”,

„LEWANDOWSCY SĄ W HOTELU „WORLD” – JACEK, DŹWOŃ!

Naraz uprzytamniam sobie, że ten naród – naród, który wydał pułkownika Kozietulskiego, porucznika Morro, Baczyńskiego, Wałęsę i tysiące innych wspaniałych Polaków jest nie do zdarcia. Że potrafi zaistnieć w każdej sytuacji. Szkoda tylko, że pokazujemy lwi pazur w warunkach wyłącznie ekstremalnych, nie na co dzień.

W tłumie pod magazynem wylawiam Węgra.

– Poczekaj chwilkę koło tablicy – mówię do Róży. – Muszę się upewnić, co z hotelem. Pobiegnę sprintem i zaraz wrócę.

– Nie zostawiaj mnie!

– Zaraz wracam. To ważne. Stój tu spokojnie.

Biegnę, przeciskam się przez tłum. Śmierdzi nikotyną, potem, alkoholem. Jakiś typ spogląda na mnie spoode łba, po czym znienacka trąca łokciem, obrzuca stekiem wyzwisk.

– Gdzie się wpier...?!

– Spadaj!

Pod magazynem wąż emigrantów. Co parę sekund ktoś dochodzi, ludzie złorzeczą, przeklinają, wyrywają sobie paczki z pieluchami, wynoszą nowiutkie materace i pudła z proszkiem do prania. Dopadam Jânosa, chwytam go za rękę.

– *Calma, calma!* – uspokaja Węgier. – Idź do Rity. Powiedz, że przychodzisz ode mnie, że ja powiedziałem, że macie jechać do hotelu „Sporting”, *capito?*

– Gdzie ją znajdę?

– W głównym bloku, w lewym skrzydle, na parterze.

– Jak wygląda?

– Wysoka, ruda Włoszka. Ma zielone oczy, kapujesz?

Ruda, zielone oczy... coś tu się nie zgadza. Od kiedy Włoszki są rude?

Znów wpadam do głównego bloku. Na korytarzu tłum Polaków. Okupują ławki, stoją pod ścianami, biegają z papierami po schodach. W oczach czai się znużenie, wielu pali papierosy. „Na nosa” otwieram pierwsze drzwi, wkładam głowę. Ruda Włoszka... jest! To z pewnością ona! Rzeczywiście rudawa i w dodatku zgrabna. Przedstawiam się po angielsku, wyjaśniam, z czym przychodzę. Rita słucha uważnie. Nie znać w niej napięcia, jest rozluźniona i uprzejma.

– Jedziecie do „Sporting Residence”. Zaraz ci wypiszę skierowanie. *Aspetta un momento.*

Boże! To chyba niemożliwe! Dostajemy hotel – krzyczy coś w środku i czuję jak radość rozsadza mi skronie.

Całuję Ritę szarmancko w rękę, wybiegam na korytarz. Jeszcze wówczas nie zdaję sobie sprawy, że dzięki wyjątkowemu szczęściu spędzę w obozie zaledwie jedną noc. Jedną, jedyną noc – zamiast dwóch, trzech tygodni, które wszyscy spędzają w Campo di Latina w oczekiwaniu na pokój w rzymskim hotelu.

Podobno już po naszym odlocie do Kanady, przez długie miesiące, krążyły na ten temat legendy. Jak to możliwe, żeby tych dwoje dostało od razu miejsce w hotelu?! – dziwili się Polacy. Jeżeli ktoś ma szczęście, musi być „wtyczką” albo zwykłym oszustem. Czegóż o nas nie mówiono! Ludzie nie potrafią zrozumieć, że najzwyczajniej w świecie można zaskarbić sobie czyjaś życzliwość i sympatię. Że wśród ludzkiego gatunku, oprócz hien i wilków, istnieją tacy, którzy lubią pomagać drugim. Gdy pomoc sprawia czasem ogromną radość. Uczucie, które dowartościowuje, pozwala żyć pełniej.

A pomógł mi Węgier. Obozowy magazynier. Dzięki niemu nie musieliśmy walczyć z pluskwami. Uniknęliśmy całonocnych libacji

przez ścianę. Mogłem zaoszczędzić Róży przerażających obrazów, którymi każdego dnia częstowało nas campo. Nie musieliśmy patrzeć na słabszych od nas. Stokroć słabszych od najgłępszego popędu. Zamroczonych wódką, zagubionych, niezasługujących na krzywą litości. I choć takie obozy jak Campo di Latina będą istniały do końca świata, dobrze się stało, że łatwiej nam było od innych zachować poczucie godności. Szacunek dla własnej egzystencji.

Dziękuję, János.